„Głos Narodu“ Ilustrowany.



Z wystawy Ogrodniczej w Wiedniu. Dział Polski.

I. Wystawa Tow. Zaw. Ogrodników we Lwowie.

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z 19 październ. 1901 r.

OGRODY.

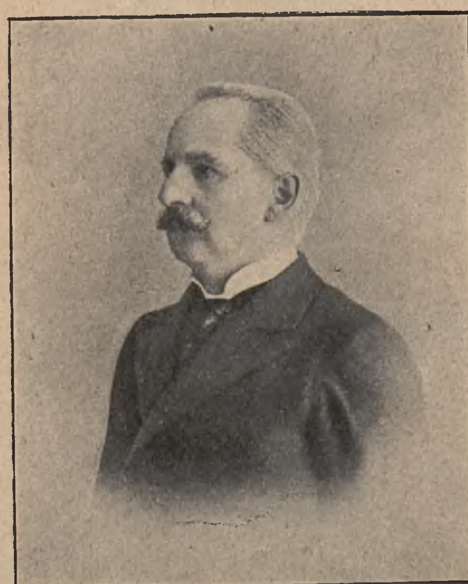
Kiedy w Wiedniu cesarz i ministrowie sławią wystawę ogrodniczą, a nasz oddział zaszczytne zdobył uznanie — (patrz artykuł w poprzednim i ryciny w tym numerze Il. 5) — nie od rzeczy będzie przypomnieć, jakie znaczenie mają ogrody ze stanowiska ogólnego dobra. Z biegiem czasów istota, kształt, cel, wartość ogrodów podlegały zmianom w miarę różnic pomiędzy ludami, klimatami i ziemią. W odniesieniu do przyszłości należy sprawę tę oceniać ze stanowiska zdrowotności, hygieny. Wracajmy do przyrody; oto hasło. Najstarszym ogrodem był raj, »czterema ożywiany rzekami« pełen owoców i kwiatów, na pożytek i radość. Słynne są »wiszące ogrody« Semiramidy w Babilonie, tarasowo urządzone. Odwieczni Inkasi w Boliwii, Aztekowie w Meksyku, Japończycy otaczali wszystkie budowle ogrodami, cmentarze są u nich ogrodami. »Święte drzewa« jak Baublis na Litwie, stały przy świątyniach; drzewa oliwne przyniosła Grekom Pallas Athene, wytwarzając przez to dobrobyt. Pałace i świątynie u Rzymian otaczają gaje cyprysów, tui, agawy, wawrzynu, fig, wina, róż. Maurowie wyposażyli Alhambrę w Granadzie wodociągami i ogrodami. Sławne były ogrody róż w perskim Szira. Słyną jako wspaniałe ogrody w miastach: Rzym — watykańskie, Borghese — Wersal, Amsterdam, Londyn (Hydepark), Konstantynopol (Pera), Wiedeń (Schoenbrunn, Schwarzenberg, gdzie właśnie jest wystawa), Moskwa, Petersburg, Potsdam, Palermo, o naszej Zofiówce pisali poeci (Trembecki, Bełcikowski) poemata, sławne są Werki pod Wilnem. Przyroda sztuką podniesiona, to był cel możnych tego świata przy zakładaniu ogrodów i cieplarni. Nie wystarczały klejnoty, obrazy, rzeźby, biesiady. Instynkt i duma wymagały władania nad przyrodą, używania przyrody, przepychu ogrodów.

Przywilej możnych, bogatych staje się jednak i stać się musi prawem ogółu. Wszystkim ludziom wrodzoną jest tęsknota za rajem, za jego cieniem, urokami i darami. Więc też nawet prywatne wielkie parki, dla wszystkich otwarte bywają.

Słowo raj pochodzi z greckiego i znaczy tyle co park — *paradeisos* — to zaś słowo pochodzi z perskiego *paridcaza* i oznacza ogrodzenie. Na wsi ma każdy niemal gospodarz swój ogródek; w miastach, w miarę ich rozrostu, giną ogródki prywatne, a powszechne jest żądanie tworzenia ogrodów miejskich, gminnych, kuracyjnych, zagajników, skwerów, ludowych, użytkowych, naukowych, doświadczalnych, aklimatyzacyjnych itd.... Odpowiadają one potrzebie wypoczynku, odświeżenia, nauki. Są one niezbędnym czynnikiem kultury, naprawiają w wysokim stopniu powietrze. Ozon wytwarza się w ogrodach i lasach, niszczy miazmaty, te rozpłodniki zarazy. Parowanie wody z liści drzew wywołuje prąd elektryczny, który wytwarza ozon; stwierdziła to już nauka. Także wielkie przestrzenie wody czystej są źródłami ozonu. Przyroda wyposażyła drzewa i krzewy cudowną cnotą. Siła ich żywotna zamienia różne trucizny z ziemi i powietrza w nieszkodliwe, pożyteczne i przyjemne materye. Każde drzewo w mieście tyle jest warte, co drzewo z bajki, rodzące złote jabłka. Ogrody uzdrawiają i ziemię i powietrze. Jak piec w zimie, tak cieniste drzewo jest w lecie największym dobrodziejem. Ale także estetyczna, malownicza, wychowawcza strona ogrodów i parków i miejsc zabawy jest niemniej ważną. A jakąż wielką wartość mają ogrody botaniczne tak urządzone, żeby wszyscy mogli tam poznawać rośliny żywiące, lecznicze, trujące. Każda wieś powinna mieć przy szkole taki ogród, oraz rozsadniki drzew i kwiatów (szkółki).

Jakże nam jednak daleko do tego!

Nietylko mydło, jak mówił Liebig, ale zmysł, poczucie, działalność w sprawie ogrodów, zalesienia pustek, obsadzania dróg, tworzenia miejsc dla



Wł. Struszkiewicz
Radca dworu, inspektor rolnictwa.

gier i sportów, upiększania każdej osady, to są znamiona i warunki kultury. Wszakże pedagodzy wielką przypisują wartość nawet hodowli kwiatów w doniczkach przez dzieci szkolne. Reformatorzy wychowania we wszystkich krajach uznali już, że ćwiczenia cielesne, zdrowa krew, normalne płuca, silne, lubo wrażliwe nerwy, uzdalniają, wzbudzają ochotę do nauki, utrwalają wiadomości. Dlatego to taki park dr. Jordana słynie już po całym świecie.

Potrzeba, żeby zaprzestano uważać miasta jako stek »parceli budowlanych«. Potrzeba, żeby ustawa chroniła ogrody, żeby obowiązywała do tworzenia ogrodów koło domów. Jeden park w mieście, to za mało dla tysięcy spracowanych ludzi, robotników, dzieci. Planty krakowskie są dobrodziejstwem, ale należy je wyposażyć liczniejszemi zagajnikami, ławkami, ścieżkami, stawami, gdyż już się dzisiaj ludzie na nich gniotą, tłoczą i kurzem oddechają. Ale planty nie wystarczają. Popatrzcie po przedmieściach, jak się dzieci bawią w cuchnących rynsztokach, jak się bielizna pierze nad wylotem ka nałów! A przecież żaden kandydat na posła lub radcę nie



Z wystawy Ogrodniczej w Wiedniu. Grupa wystawców polskich.



Z wystawy Ogrodniczej w Wiedniu. Szkółka bar Juliana Brunickiego

uważa za potrzebne mówić o ogrodach, o boiskach; a ogrodu strzeleckiego gmina nie ocaliła. Kto jest człowiekiem kulturnym, przyjacielem ludu i dzieci, patryotą rozumnym, ten musi działać jako obrońca i krzewiciel ogrodów. W miarę jak giną z miąst oazy przyrody — ludzie stają się gorsi i chorowitsi, umysły i serca karłowacieją!

Pominęliśmy tu gospodarskie znaczenie, sadów, warzywnictwa; o tem kiedyindziej.

H. M.

Z DESZCZU POD RYNNĘ.

Od Redakcyi.

Kto jest p. Feliks Jasieński?

Zna go Paryż, zna go Warszawa, gdzie nie mało wrzawy wywołał działalnością swoją, zna go Kraków — pozna go w tych dniach Lwów.

W ciągu bieżącego roku urządził 20 wystaw artystycznych w Warszawie i Krakowie — połowa bezpłatnych 3 na cele użyteczności publicznej.

Szczery miłośnik sztuki, amator, posiadający wspaniałe zbiory, niestrudzony wędrujący prelegent, entuzyastyczny agitator czynem i słowem...

Za czem agituje? Za sztuką, za pięknem. Za szczerością w sztuce. Za rodzimym charakterem, za polskością sztuki.

Wolny od wszelkiego dekadentyzmu za zadanie swoje życiowe uważa uczyć ludzi patrzeć na sztukę i cenić w niej to, co cenić należy: prawdę uczucia i oryginalność wyrazu.

Jak każdy zresztą agitator tak i p. Jasieński, najlepszemi ożywiony chęciami, nieraz przebiera miarę w zapalonej szermierce wyrazów.

Ale pan Jasieński złości się i walczy z taką dobrą wiarą i z taką gracyą, że chyba ani artyści, którym wymyśla od mydlarzy, ani nasza publiczność, znacznie wykształceńsza od warszawskiej, za złe mu tego nie wezmą i potrafią odróżnić to, co potrzebne od tego, co przesadne. Nieprawdaż?

A miło jest w czasach zblazowania i dekadencyi kosmopolitycznej mieć do czynienia z kimś, kto ma krew w żyłach, kto działa energicznie i umie cenić narodowość w sztuce.

Redakcya.

Dwojakiego rodzaju są nieszczęścia, które spotykają szermierzy idei: przeciwnicy, przez głupotę lub złą wolę, nie pojmują lub nie chcą pojmować o co właściwie ci szermierze walczą; ośmieszając ich działalność, fałszywie oświetlają czyny, przekręcają wygłaszane zdania i fakty; zwolennicy, przekonani i porwani zapałem, nie zgłębiwszy całości, oddają się całą duszą jakiejś cząstce nauki mistrzów, z drogi schodzą na manowce, wyciągają fałszywe wnioski, przeholowują i stają się równie szkodliwymi jak i pierwsi, a nawet szkodliwszymi.

Że się odbywa ze mną to, co się odbywało setki razy z innymi i setki razy odbywać będzie — nic dziwnego. Że gwałtownie reaguję przeciwko nieubłaganej konieczności, chociaż wiem, że to konieczność — również nic dziwnego. Marnym byłbym apostołem, gdybym się nie brał za bary nawet z nieubłaganą koniecznością. Zapał manjaków nie stygnie, ale czas bieży; żal pracy, która idzie na marne, chciało-by się owoce tej pracy zbierać jak najrychlej, ciesząc się pożytkiem, jaki z nich osiągnie społeczeństwo, któremu się służy i służyć będzie, z całym zapałem, pomimo wszystko — do ostatniej chwili.

Czego chcę, powiedziałem sto razy. Powiedziałem w francuskiej książce i w polskiej prasie, mówiłem całymi tygodniami do publiczności na wystawach w Warszawie od dziesiątej rano do dziesiątej wieczór. Rezultatem mej pracy jest to, — że muszę się do was odezwać w te same słowa... po raz setny i pierwszy. Mur waszej obojętności jest silny, ale mój łeb — twardy. Ha! Spróbujemy. Jeżeli sobie łeb rozbiję, to wam zaręczam, że w każdym razie pozostanie w murze porządna dziura. Tą dziurą płynąć będą fale świeżego powietrza i włazić śmiałkowie, którzy rozpoczętą przezemnie pracę dalej poprowadzą.

Chcę przedewszystkiem obudzić w jak najszerszych kołach miłość dla sztuki, sztuki bez epitetu. Że mamy Wyspiańskich, to nie nasza zasługa. Talenty wyrastają u nas w warunkach wprost strasznych, o ile się nie wynoszą za granicę. To ciągła walka artysty z głupotą i obojętnością jednych — złą wolą drugich. Nam się zdaje, że gdyśmy się wyhałasowali po »Weselu« i »Manru« — w teatrze, to jesteśmy i byliśmy zawsze w porządku względem sztuki[1]). Chcę wyjaśnić pojęcie sztuka i w tym celu zwalczam silnie zakorzenione a haniebne punkty widzenia na sztukę. Sztuka — to całokształt przejawów indywidualnej twórczości artystów na podkładzie wspólności narodowościowej. W dziele sztuki szukać powinniśmy jedynie talentu artysty. Artystę czcić powinniśmy nie za wybór tematów i tendencye, lecz za talent. Niechaj tworzy co i jak mu się podoba. Jeżeli stworzył cokolwiekbądź — uczynił zadość jedynemu prawu, jakie go względem nas obowiązuje. Małpowanie tego co było i jest, naśladowanie niewolnicze natury — to nie jest tworzenie.

Chcę, aby zrozumiano, że tradycya, dogmat, nie mają w sztuce prawa bytu. Kto mówi sztuka — mówi rewolucya.

Jestem inny — a zatem jestem i będę nieśmiertelny.

Satellita — to niewolnik. Niewolnik nie ma prawa do miana artysty.

Chcę, aby zrozumiano, że malarstwo to nie cała sztuka, że niema polskiej sztuki, ale że być może i być musi, że nie ma nawet polskiego malarstwa. Któż jest Szopenem śród polskich malarzy? Nikt. Grottger? Matejko? Nie, sto razy nie! Błędne, a nieszczęsne poglądy: polski temat — więc polski obraz. Czy wy wiecie co to jest polski obraz? Egipska krowa namalowana po polsku! — otóż to właśnie, a nie Kościuszko, namalowany po monachijsku. Dzisiaj, społeczeństwo, słysząc takie zdanie, dziko na pozór brzmiące, szuka gałęzi, aby na niej powiesić autora. Trudno o coś bardziej niepopularnego. Ja gwiżdżę na popularność. Nie będę lubiany. Ja nie jestem od lubienia. Ja jestem od mówienia rzeczy nieprzyjemnych ale pożytecznych, oklepanych, a dla naszego ogółu nowych; mnie nie chodzi o moje «ja«, lecz o sztukę i o naszą sztukę. W jaki sposób egipska krowa może się stać polskim obrazem? W bardzo prosty sposób. Trzeba ją namalować po polsku.

Ależ to niemożliwe!

Doprawdy?

Rembrandt namalował polskiego lisowczyka 1-o po swojemu, 2-o po holendersku. Indywidualność artysty na podkładzie narodowościowym.

---

[1]) Paderewski miałby prawo odezwać się w następujące słowa Kochające społeczeństwo: dumny jestem i szczęśliwy, iż skazawszy mię ongi na śmierć głodową i zawyrokowawszy, iż nie będzie zemnie nigdy ani wirtuoz, ani kompozytor, dzisiaj, gdy mię nakarmiły, odziały i uznały wszelkie nacye, kulę ziemską zamieszkujące, takie wspaniałe na moją cześć wyprawiujesz wrzaski.

Wyspiański zaś: mniej krzyczcie a więcej szanujcie moje witraże, nie »poprawiając« ich.



Feliks Jasieński Prof. Leon Wyczółkowski Pp. Papiescy Lucyan Rydel z żoną Dr. Estreicher J. Warchałowski Wł. Tetmajer z żoną

W sali Tow. Sztuk Pięknych w Krakowie

Feliks Jasieński i jego goście na Wystawie Sztuki Japońskiej.

Oto czego ja chcę!

Dyrektorowie muzeów nie mogą wieszać hiszpanów między anglikami, a włochów między holendrami. Robi się taki wrzask, że czemprędzej należy dać każdemu miejsce, które mu się słusznie należy. Polaczka można powiesić gdzie się komu podoba. Zawsze się dla niego znajdzie miejsce... śród obcych. Nie piśnie ani słowa i nie ma prawa pisnąć. Rejtan — to nie polski obraz: to jedynie temat z historyi polskiej zaczerpnięty. Nikt nie będzie w stanie zebrać dwudziestu obrazów takich, aby miał prawo zażądać w Wiedniu czy Berlinie osobnej sali na ich pomieszczenie, bo do żadnej z istniejących by nie pasowały; aby miał prawo umieścić na drzwiach napis: *polnische Schule*. Bo choć mieliśmy i mamy artystów, są to indywidualności, których nic wspólnego nie łączy. Mamy kilkadziesiąt kwiatów doniczkowych, ale nam brak polskiej łąki. Oficerowie bez armii, wieżyce bez gmachu; masy bez uświadomienia o celach i obowiązkach.

Przypuśćmy, że zdobylibyśmy się na taką salę; czy mielibyśmy prawo odpoczywania na laurach? Nie. Malarstwo — to jeden z licznych działów, z których składa się sztuka; to bynajmniej nie alfa i omega. Tymczasem, cóż się u nas dzieje, biorąc na ogół?

Powiedzieliśmy sobie, że skoro mieliśmy Matejkę, niczego nam więcej nie potrzeba; że Matejko — to cała nasza sztuka; ułożyliśmy się na łące do snu, wystawiwszy żołądki na działanie promieni słonecznych; jeżeli się zaś budzimy, to jedynie po to, aby się kłaniać bezmyślnie i bałwochwalczo jak fetyszowi. Mistrz ten, który namalował trzy znakomite obrazy: »Kazanie Skargi«, »Stańczyk«, »autoportret« oraz szereg pysznych studyów do obrazów, które on sam wziął za obrazy i my za obrazy bierzemy (Grünwald, Hołd pruski), mistrz ten, którego olbrzymi dziwny talent jest mieszaniną złota i ołowiu, z pod pędzla którego wyszła ohydna »Joanna d'Arc« stał się przyczyną nieporozumienia i chwilowego zastoju. Rzecz prosta, iż stało się to z winy społeczeństwa, nie umiejącego czcić rozsądnie, nie wiedzącego za co czcić należy, bezkrytycznie odtrącającego, lub bezkrytycznie padającego plackiem. Ci, którzy oddają Matejce cześć bałwochwalczą, nie mają najczęściej żadnego pojęcia, za co właściwie tego wielkiego artystę czcić należy. Kupują fotografie z zestawionymi medalionami — Matejko, Siemiradzki, — nie zdając sobie sprawy z bezmiaru głupoty, która tkwi w podobnem zestawieniu i krzywdy, wyrządzanej Matejce. Matejko był potężną indywidualnością. Przez długi czas ciężył kamieniem na wszystkiem co go otaczało; stał się pretekstem do idyotycznych elukubracyj o sztuce, ogłupiających ogół, i bez tego nie bardzo mądry, pretekstem dla tego ogółu do pozostawania ślepym na wszelkie ob-

jawy twórczości artystycznej i głuchym na nawoływania do popierania pracy we wszystkich kierunkach tej twórczości. To reguła, a wyjątki dadzą się policzyć na palcach. Zaciekły konserwatyzm tkwi w mózgach tłumu, pozwalającego umierać z głodu Podkowińskim, Kurzawom i dziesiątkom innych, którzy się do jego gustów nagiąć nie chcieli, »poprawiać« dzieła Wyspiańskich, lub całkiem tych Wyspiańskich i Laszczków pomijać przy odnawianiu naszych katedr, oddając pierwszeństwo rzemieślnikom niemcom — (Wawel, Biecz) - hańba! — a wstającego w łódzkim teatrze, aby uczcić oklaskami i wyciem jednego z najgenialniejszych nowożytnych mydlarzy, autora kurtyny krakowskiej, tego arcydzieła banalności. Tak! to nie jest polska sztuka i to nie jest sztuka. Zaprawdę, dużo lepiej by się był wywiązał z zadania jeden z tych nieznanych artystów, których dzieła oglądać można na krakowskich skrzyniach włościańskich. Przez powstanie czcić należy nie Siemiradzkich, lecz Chełmońskich! Siemiradzkich za granicą były i są tuziny. Chełmoński jest jeden. Szkoda, że Lwów nie prosił Mehofera o namalowanie kurtyny. Wybornie się natomiast stało, iż powierzono temu znakomitemu artyście ozdobienie skarbca na Wawelu. Niewątpliwie w jak najkrótszym czasie, ucieleśni się tam całość wspaniałych pomysłów. Dla starszej generacyi są to bluźnierstwa i paradoksy: młodsza — dzięki Bogu — inaczej o tych rzeczach myśleć poczyna. Warszawa, ogromne, ale filisterskie, gruboskórne i mało kulturalne środowisko — śpi jeszcze, ale dzięki Witkiewiczowi, Zakopane działa, a Kraków się zbudził. Świeżo zawiązane towarzystwo »Polska Sztuka Stosowana« zacznie wkrótce wprowadzać w czyn to, do czego usiłowałem — nadaremnie — Warszawę zbudzić — słowem i metodą poglądową; przez urządzenie wystawy różnego rodzaju dzieł sztuki japońskiej. Nie przyjechałem uczyć publiczności krakowskiej rzeczy, z których doskonale zdaje sobie sprawę. Urządzane przezemnie wystawy mają za zadanie nie kształcić ją, lecz dać garść przyjemnych wrażeń. Pisząc, nie dla niej piszę. O ile Warszawa, przekonana o swej mądrości, dostarczyła mi samych prawie wrogów, wyrażających antypatyę, jaką czują do mojej osoby za moje idee, przez niszczenie dzieł sztuki japońskiej i wymyślanie na tę sztukę, o tyle Kraków, nieskończenie rozumniejszy i subtelniejszy, uszczęśliwił mię zwartą falangą zwolenników, zwolenników w niektórych razach tak zapalonych, iż spostrzegłem z przerażeniem, że mojej idei grozi dostanie się z deszczu pod rynnę. Że odczuto odrazu cały czar bogatej, potężnej subtelnej, oryginalnej sztuki japońskiej — mocno mię cieszy; ale że, strąciwszy z piedestałów starych fetyszów, postanowiono dźwignąć **nowy** i oddawać mu cześć bałwochwalczą — to mię martwi. Jakto? więc ja dzwoniłem na odrębność narodową, na szanowanie i wyrabianie się indywidualności, na pomiatanie wszelkiemi formułkami, »wypada« i »nie wypada«, »można« i »nie można« — bo wszystko można, o ile się tylko ma talent — na pracowanie we wszystkich kierunkach twórczości artystycznej, aby się doczekać małpowania techniki rysowniczej japończyków, po tyloletniem małpowaniu włochów, francuzów i niemców? Hola, moi panowie: nie tędy droga! Wyrąbałem wam okno na nowe, olbrzymie horyzonty, aby wam dowieść, że możecie kpić z europejskich dogmatów, że **jedyny profesor — to natura, którą należy oddawać po swojemu; każdy z was po swojemu, a wszyscy społem — po naszemu.** Pokazałem wam Japonią, żeby was nauczyć myśleć o Polsce, na wzór artystów, którzy przez dwa tysiące lat po japońsku o Japonii myśleli, a wy mi zaczniecie smarować po japońsku? Malowaliście à la Piloti, à la Bouguereau, à la Matejko, à la Wyczółkowski, à la Stanisławski, a teraz będziecie malować à la Hoksai, à la Utamaro, à la Eishi? Był dogmat, że nie ma zbawienia bez ogólnych sosów, bryłowatości, perspektywy, światłocienia, a teraz będzie dogmat, że zbawienie tkwi w braku perspektywy, bryłowatości i światłocienia? Więc zawsze jakieś dogmaty, paragrafy i małpowania, zawsze litera, a nigdy duch? Niechaj-no ja spotkam na Wystawie japońszczyznę nadrudawską: sprawię jej autorowi taką japońską łaźnię, że popamięta japoński miesiąc. Broń nas Panie Boże od naszych przyjaciół: od nieprzyjaciół obronimy się sami. To ci dopiero frajda: przyjechać chłopców rozkuwać z wszelkich łańcuchów i widzieć jak, po wypuszczeniu na wolność, pakują na siebie łańcuchy innego modelu! Wszak Warszawa twierdzi, żem przyjechał do kraju, by polaków przerobić na japończyków, że dbam tylko o sztukę japońską, że na niczem innem się nie znam i o niczem innem wiedzieć nie chcę. Jaka woda na warszawskie młyny! Wszystko to jest kłamstwem. Uczyłem się wielu rzeczy przez długie lata i wieloma rzeczami się interesuję. Nie twierdzę bynajmniej, abyśmy wyłącznie sztuką zajmować się mieli. Kto zbyt wielu spraw się podejmuje, ten porządnie żadnej nie załatwi. Niechaj inni myślą o polskiej oświacie, nauce, o polskim przemyśle. Sprawy to ważne. Zresztą, rozkwit sztuki narodowej tak jak ja te rzeczy pojmuję, a zemną towarzystwo »Polska Sztuka Stosowana«, to rozkwit olbrzymiego odłamu polskiego przemysłu, to zatrzymanie milionów u siebie, dla swoich. Czerpiąc ze skarbnicy swojskich motywów, budując na tej podwalinie, stworzyć nareszcie będziemy mogli polską sztukę. Niechaj społeczeństwo poprze usiłowania ludzi dobrej woli, niechaj żąda wciąż i wszędzie rzeczy naszych; niechaj zrozumie, że małpowanie i popieranie tego co obce, a systematyczne pomijanie i wstydzenie się tego co swoje, to wystawianie sobie świadectwa głupoty i nikczemności. Niepotrzebny nam Zumbusch gdy mamy Laszczkę. Budujmy domy po naszemu i przez naszych po naszemu je urządzajmy. Precz z Hochbergerami! Dwadzieścia domów i czterdzieści krzeseł w stylu zakopiańskim — to nic. Tych domów wyrosnąć powinno dziesięć tysięcy, a wszystko — od gwoździa do obrazu — powinno być i może być w nich **nasze**. Czcijmy objawy piękna gdziekolwiek one powstają; szowinizm, zwłaszcza gdy chodzi o sztukę, jest rzeczą wstrętną; ale pielęgnujmy przedewszystkiem objawy tego piękna u nas, bo nie mamy prawie nic, a możemy dużo mieć — **chodzi tylko o to, aby chcieć.**

Przedewszystkiem zaś działajmy **z zapałem rozważnym i cierpliwym** i nie pakujmy — dla okazania im sympatyi — ludzi, stojących na deszczu, — pod rynnę.

Kraków, 6 października 1901. *Feliks Jasieński.*

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Z PAMIĘTNIKA PANNY HALI — JEJ „PA“ I „MA“

(Ciąg dalszy). (5)

Radca odetchnął i powiada:

— Janie Gwalbercie jedziesz do Włoch?

— Tak.

(Ciekawym kto mu powiedział.)

— Piękny wojaż, ale co mówisz, gdybyśmy sobie teraz tak zajrzeli nad Ren!...

— Gotowy, ale Johannisberger z roku 1864 — młodszy zestraszy raki.

— A później spławili ptaszki w Burgundskiem?

— Zgoda, byle nie potonęły. Rozsądne umiarkowanie to mój ideał!

— Kawka i maleńkie curaçao...

— Podnieca i daje wigor, całem sercem zgoda.

Kiedyśmy już zaspokoili pierwszy głód, radca powiada:

— Jedziesz kolego do Włoch! Ślicznie. Ale prócz zabawy, prócz przyjemności waszej, niechajże i to nasze biedne, ciemne społeczeństwo, odniesie z tego jaki pożytek.

— W jaki sposób?

— Postaw radca wdówkę Clicquot, tylko ochędożną, bardzo sec, a ten pożytek społeczny łacniej się nam wyklaruje.

Postawiłem.

Trąciliśmy się raz i drugi, a radca powiada:

— Pisz kolega pamiętnik podróży, spostrzegaj, obserwuj złe i dobre; oglądaj wszystko i wszystko co ci się wyda pożytecznem — notuj skwapliwie. Może się w tem mieścić głęboka nauka dla nas albo i dla dzieci naszych.

Psiakość nóżki baranie, że też mnie to nie przyszło do głowy!

— Bo, powiada dalej gdyśmy już zapalili cygara przy kawie, nasi ludzie włóczą się po świecie, latają po Europie jak cielęta na wiosnę, tu skubną, tam wytrzeszczą oczy, gdzieindziej wierzgną — a do obory nic nie przyniosą, i ogół niema ze swoich pieniędzy wydanych żadnego pożytku. Rozumiesz kolega?

— Święte słowa! Rozumiem, jakże!...

Postawiłem wdówkę raz jeszcze, bo mnie rozczulił. To obywatel, to rozum. Ministeryalna głowa psiakość nóżki baranie!

— I piszcie wszyscy, bo czego ty nie spostrzeżesz, to zobaczy żona, albo córka!...

Gorąco nam było, wzięliśmy »gumę« i pojechali się nieco przewietrzyć.

Ale szelma dryńdziarz zawiózł nas prosto do Fantazyi....

Niechciałem szczerze, bo jakże, czy to wypada porządnemu człowiekowi pokazywać się tam... gdzie te....

— Nie chcieliśmy, a sam nas zawiózł, w tem palec Boży! powiada radca — te błaźnice są tak zabawne, to nam dobrze zrobi na trawienie...

— — — — — — — — — — — —

Napisał mi tylko radca krótką notatkę: co, gdzie i jak mam oglądać i zaraześmy wyszli.

Odwiózłem go do domu, bo zimne powietrze zmorzyło go trochę, a on jeszcze przed bramą rzucił mi się na szyję, całował i mówi:

— Janie Gwalbercie, pamiętaj com mówił: pilnuj swe notatki, bo to twoja podróżna ewangelia —

— Jakto, ja obywatel! ja mąż, ja ojciec — mógłbym zapomnieć o pożytku tego biednego, ciemnego społeczeństwa naszego? — Nigdy!

Matka się gniewała, że późno wróciłem! Ale nawet najmądrzejsza kobieta nigdy tego nie zrozumie, że można być pożytecznym swojemu społeczeństwu nawet w klubie!

Radca Malinowski powtarza zawsze:

— Kobieta! Cóż to jest kobieta? Kostyum letni za pięćdziesiąt rubli na wiosnę i kaprysy; — kostyum zimowy za sto rubli i przywidzenia; — kostyum balowy za sto pięćdziesiąt i bezmyślność — oto masz kobietę, co mówię, oto są wszystkie kobiety!

Ma słuszność, psiakość nóżki baranie, świętą słuszność —

Trzeba iść spać, bo rano wstać muszę. Trzeba iść jeszcze do cyrkułu, może się co da zrobić z komisarzem względem tych suteren wilgotnych... Że tam trochę cieknie, to cóż to może komu zaszkodzić!

Przecież lokatora nie wyrzucę i niedam tego mieszkania stróżowi!

To zgroza, czego się to już nie zachciewa tym chamom!

Dam mu w kopercie dwadzieścia, nie, piętnaście rubli, to powinno wystarczyć na osuszenie suteren!

Oto notatka, jaką mi dał radca. Przepisuję dosłownie, żeby nie zaginęła:

»Kraków: Stanąć w Saskim. Wódka, przekąski, tylko Hawełka! Wino — Federowicz. Piwo — Wentzel. Wawel — zaprowadzi ekspress. Nic więcej godnego uwagi.

Wiedeń: Klomser-Hotel. Café Central. Ronacher, jeśli z rodziną pójdziesz. Szpitzer-Café — sam. Burg, zmiana warty o 1 z południa. Są tam jeszcze jakieś muzea. Wszędzie w lepszych kawiarniach pilzner. Doskonałe cygara!

Wenecya: Bauer-Hotel, Kanały, Floriani — lody i inne smakołyki dla kobiet. Pilzner-Halle tuż przy placu — doskonały! Calle dei Fabri, 6 — zajrzeć samemu; w dzień mało ludzi! Gołębie na placu! Wieczorem gondole — kanał — śpiewy! Teatry pod psem, niewarto, ani jednej nóżki baletowej!«

— — — — — — — — — — —

Zaraz odnoszę matce i idę spać.

— — — — — — — — — — —

Dopisek »Ma«.

Przeznaczeniem kobiety — jest być żoną i matką i aniołem mężczyzny! Nie znałam Żmichowskiej, ale jej przyjaciółka mnie wychowywała. To mówi dosyć!

Boże! jakież rozkoszne są te Stokrotki! Och, one mają dusze czułe i wierne, a czemu mężczyźni są tak brutalni i poziomi?...

Czemu świat jest tak nieszczęśliwym?...

Och, bez ideału nie można być szczęśliwym!

Ale czy można mówić o ideale, jeśli mięso kosztuje czterdzieści groszy funt, kucharza trzeba płacić 15 rubli kwartalnie, a nawet najskromniejsza suknia kosztuje 50 rubli?

O, świat jest zły i przewrotny!

Ale poświęcenie jest fundamentem rodzin!

Jak wzniosłą jest rola kobiety!

Jest kapłanką domowych ołtarzy, jest strażniczką cnót, jest służebniczką dobra!...

— — — — — — — — — — —

Nie mogę pisać, bo mąż tak chrapie!

Piwo, dobry obiad, karty, a potem chrapanie — oto są mężowie.

— — — — — — — — — — —

Wtorek rano.

Już po nabożeństwie. Doróżki czekają przed domem.

Sparzyłam sobie język herbatą. Zaraz jedziemy!

Boże, żeby czego nie zapomnieć!

P. Henryk poleciał jeszcze do apteki bo Stokrotki jakieś smutne... jakby chore... piszę już w kapeluszu i... ach byłabym zapomniała pudru i ołówków do brwi... ja się nie czernię — tylko że »Ma« kazała zabrać dla siebie...

Ciocia płacze. Ździś płacze... Ze wszystkich okien wyglądają...

Słyszę kroki p. Henryka na schodach!

Zaraz jedziemy!

Tak mi jest smutno i tak mi jest czegoś wesoło...

Byłabym zapomniała swoich oszczędności — mam je we woreczku, na szyi... nikt o nich nie wie —

Już jedziemy!

Więc to prawda!

— — — — — — — — — — —

Później, już w wagonie.

Jedziemy do Włoch!

Piszę ołówkiem i patrzę w okno!

Dostałam pięć pudełek cukierków i tyle kwiatów, że całą ławkę zajęły — a cukierków to mi chyba wystarczy aż do Rzymu.

Spłakałam się na stacyi ze złości, bo ciotka Hortenzya, na pożegnanie, tak przy wszystkich, na peronie — włożyła mi na szyję skaplerz!! — Śmieszna dewotka! Ma mi zapisać dom swój, bo żeby nieto... Mnie skaplerz!! mnie, która z p. Henrykiem czytałam Spencera i jadę do Włoch — Te stare ciotki to... jedynie tyle są warte, że... że mają domy!... Śmieszne istoty!

Muszę obserwować i zapisywać, bo p. Henryk mnie prosił, abym mu wszystko opisywała.

No tak, to wszystko, co wypada pisać narzeczonemu —

Tyle osób nas odprowadzało!

Była i Ceśka z Nacią, zobaczyłam je przed samym odjazdem, bo pierwej musiałam się pożegnać z Malinowskiemi — rozstałam się z niemi serdecznie, bo ja tam nie zważam na różnice majątkowe lub towarzyskie. — Jak przyjaźń, to przyjaźń.

Będę do nich pisywała z drogi, tak mnie o to prosiły. Swoją drogą, czułam, że mi zazdroszczą i tej angielskiej sukni z pasmanteryą, jaką mam na sobie, i tej podróży do Włoch!

Także! — Dzisiaj, to byle jakaś nauczycielka lub córka jakiegoś urzędniczyny, ma już pretensyę żeby wyjeżdżać za granicę...

Paradne sobie! Jakby nie mogły pojechać sobie w niedzielę tramwajem do Wilanowa i z powrotem!

Tyle ludzi i tego nie może!

W wagonie pusto.

»Pa« trochę drzemie.

»Ma« daje »Stokrotkom« pigułki homeopatyczne.

Aha! trzeba obserwować!

Pola z jednej i z drugiej strony... same pola.

Dziwne, dlaczego tyle placów stoi pustkami?... Możnaby przecież wszędzie porobić letnie mieszkania —

Widzę sama, że to co piszą o biedzie chłopskiej — to gruba przesada.

Mój Boże, gdybyśmy to mieli takie pola na Lesznie!...

Nie cierpię wszelkiej przesady i egzaltacyi — nie wiem dobrze, czy egzaltacya pisze się przez »k« czy przez »g«. — Ale mniejsza z tem.

Na każdej stacyi stoi taki pan w czerwonej czapce... a czasem i w białych rękawiczkach... i, ze wszystkich okien dworców wyglądają jakieś panie...

Wsie widać z okien, to znowu jakieś domy pojedyncze, ale takie brudne, takie obdarte — że to policya nie nakaże poodnawiać.

Śnieg jeszcze, i wody, i błoto...

Słońce nie świeci, nawet nie wiem, w której teraz może być stronie.

A tam już wiosna i kwitną pomarańcze...

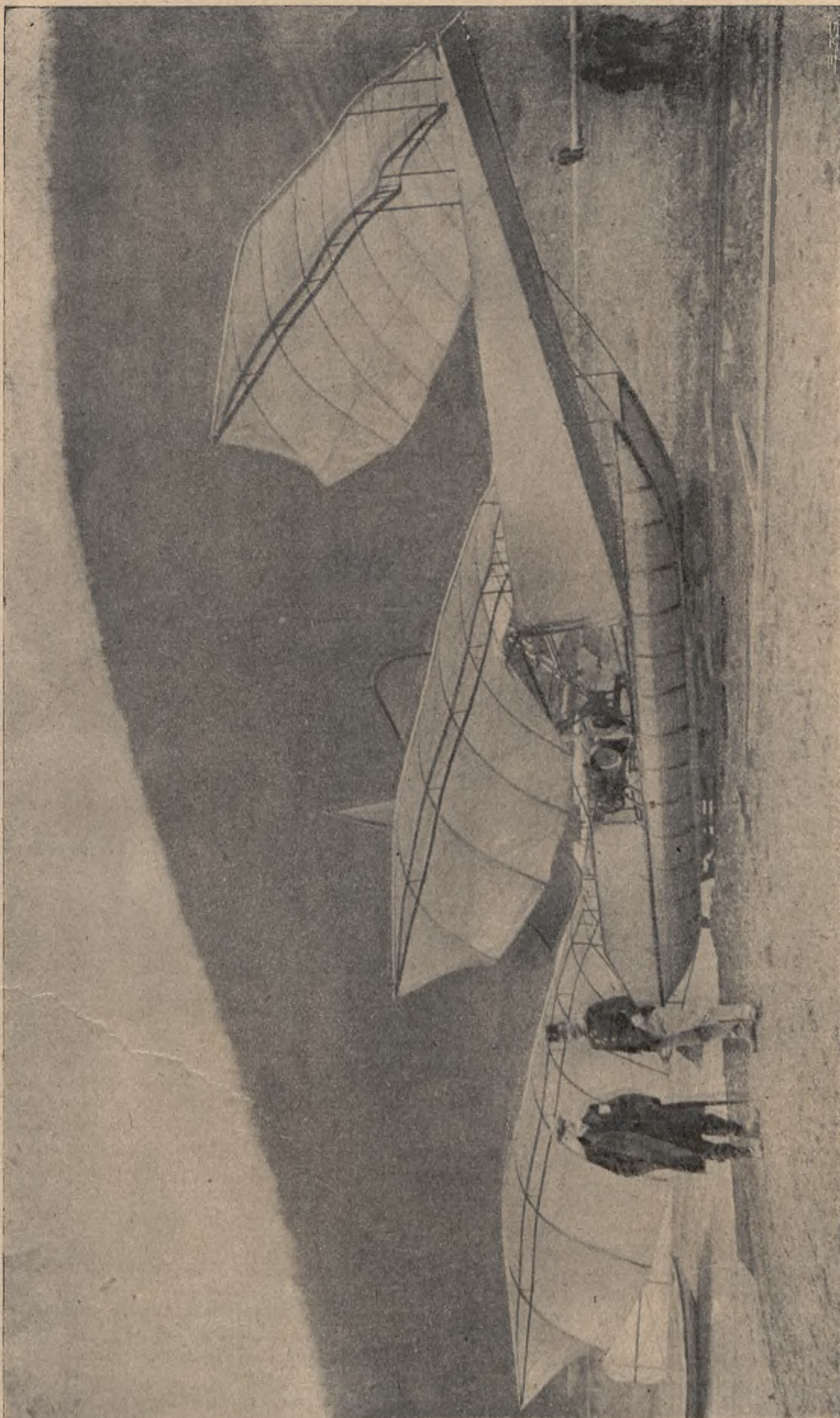
Za nic w świecie nie mieszkałabym na wsi... Jezus, co za nudy — ani ulic, ani miast, ani balów — nierozumiem, dlaczego niektórzy ludzie tu mieszkają?...

(Ciąg dalszy nastąpi).

JESIEŃ.

W pustej alei czarne, nagie drzewa —
W pustej alei liści powódź złota —
(Jesienny wicher gałęziami miota
I jęcząc psalmy pokutnicze śpiewa).
Słońce z zachodu krwawym pyłem prószy —
(Wiatr coraz głośniej nuci pieśń pokutną).
W ciemnej alei tak pusto i smutno,
Jakby ta Jesień płynęła z mej duszy...

Kraków. *Jan Pietrzycki.*



Łódź powietrza inżyniera Kressa w Tullnerbach pod Wiedniem, w przeddzień katastrofy.

(Artykuł na str. 93).

O Teatr Ludowy.

Kwestya Teatru ludowego jest dziś u nas na porządku dziennym i nie zejdzie z tego porządku, dopóki nie będzie pomyślnie załatwioną. Świetne początki teatru letniego prowadzonego przez pana Zawadzkiego w Ujeżdżalni wykazały dowodnie żywotność i potrzebę takiej instytucyi w Krakowie. Potrzebę tę uznają też z jednomyślnością, jakiej u nas nie znam przykładu, wszystkie dzienniki, cała publiczność...

Opozycyę prowadzi tylko — Dyrekcya Teatru Miejskiego w Krakowie. W jaki zaś sposób, niech świadczy poniżej zamieszczony dokument, wniesiony przez Dyrekcyę do Rady Miejskiej.

Do Wysokiej Rady Miejskiej Krakowskiej!

Z powodu projektu wydzierżawienia Ujeżdżalni dla Teatru Ludowego niech mi będzie wolno zwrócić się do Wys. Reprezentacyi i przedstawić tę sprawę ze względu na interes i byt Teatru Miejskiego. Nikt nie wątpi, że widowiska sceniczne działają dodatnio na szerokie warstwy ludności — dlatego też, spełniając warunki kontraktu z Gminą m. Krakowa, starałem się powiększyć w zeszłym sezonie ilość widowisk popularnych po cenach zniżonych, oraz widowisk popołudniowych po $^1/_2$ cen normalnych, tak że razem było tych widowisk 58. Wreszcie przy końcu sezonu było jedno widowisko bezpłatne, czego dotąd w Krakowie nie bywało. Dział ten widowisk układam i rozwijam repertuar bieżący w taki sposób, aby co tydzień w niedzielę publiczność, nie mająca możności chodzenia do teatru, znalazła w dni świąteczne właściwą artystyczną strawę. W mieście, liczącem 85.000 mieszkańców, teatr powinien i musi zadawalniać potrzeby wszystkich warstw ludności i obok dzieł literackich przedstawiać utwory popularne albo wesołe, dające godziwą rozrywkę. Trzeba jednak, aby ta rozrywka miała charakter artystyczny, aby podnosiła upodobania estetyczne publiczności, a nie zniżała się do nieartystycznego poziomu. W miastach wielkich, o krociach mieszkańców, można łatwo uorganizować teatry stałe, rozwijające się prawidłowo, dające przedstawienia w porządnych budynkach. Miasto Kraków, które z trudnością może utrzymać jeden teatr dramatyczny, nie ma jednak środków, aby utrzymywać drugi porządny teatr, prowadzony skromnie, ale oparty na siłach fachowych, dający słuchaczom produkcye artystyczne, choćby średniej wartości. Gdyby Kraków był 2 lub 3 razy większy, mógłby w oddalonej dzielnicy utworzyć teatr na seryo, teatr prawdziwy, nie będący przybytkiem sztuki amatorskiej albo tandety. Prawda, że do widowisk Teatru Ludowego nie podobna przykładać miary zbyt surowej, lecz powinny uczynić zadość pewnym wymaganiom poprawności wykonania i odbywać się w lokalach, odpowiadających elementarnym wymaganiom budynku teatralnego, w przeciwnym razie teatr taki staje się rozsadnikiem złego smaku, niechlujstwa i obniża poziom kultury estetycznej. Z powodu niskich cen za bilety Teatr Ludowy nawet w Warszawie znajduje się w trudnem położeniu. Kto jednak był w Warszawie w Ujeżdżalni, nie może uważać takiego teatru za wzór do naśladowania dla miast, posiadających pewien stopień wyższej kultury. — Jasna rzecz, że Kraków nie może utrzymać nawet takiego teatru, dotychczas bowiem widowiska urządzane były prowizorycznie z sił niefachowych. Niektórzy krytycy, popierając teatr w Ujeżdżalni, zamykali oczy na jego braki — ale trudno twierdzić, aby na tej stopie pozostająca instytucya artystyczna przynosiła zaszczyt naszemu miastu, które pod wieloma względami zajmuje stanowisko przodujące w w ruchu artystyczno-literackim w Polsce. Teatr Ludowy w Krakowie, umieszczony w Ujeżdżalni tuż pod bokiem Teatru Miejskiego musi stanowić konkurencyę pod pewnym względem szkodliwą. Wiadomo przecież z handlu, że produkcyi prowadzonej porządnie a kosztownie szkodzi konkurencya taniej tandety — a to samo da się powiedzieć o teatrze. To, co piszą niektórzy recenzenci o wychowaniu publiczności dla Teatru Miejskiego przez Teatr Ludowy, jest frazesem rzuconym na wiatr i nie opartym na żadnej podstawie. Teatr w Ujeżdżalni, tak jak obecnie był prowadzony, był zwykłem przedsiębiorstwem teatralnem, obliczonem na nizkość cen; dawał widowiska także w czwartki i soboty, to jest wtedy, kiedy ludność robocza nie mogła korzystać z teatru. Właściwe popularne widowiska mają znaczenie tylko w niedziele i święta. Należy się przeto słusznie obawiać, że drugi teatr w środku miasta, dający widowiska po cenach bardzo niskich, odbiera Teatrowi Miejskiemu przynajmniej $^1/_2$ widzów z miejsc tańszych, a tę opinję podzielą ludzie praktyczni, oceniający tę sprawę bez frazesów i złudzeń. W zeszłym sezonie z miejsc tańszych w Teatrze Miejskim korzystało przeszło 42.000 osób, a dochód z tego źródła wynosił 33.209 K., więc ubytek z tej przyczyny poniósłby dla naszej sceny niepowetowaną szkodę.

Nie występowałem nigdy przeciw idei Teatru Ludowego, która jest piękną. Chodzi mi tylko o to, że w mieście tak małem jak Kraków nie da się urzeczywistnić projekt osobnego teatru ludowego, zwłaszcza w środku miasta bez dotkliwej szkody dla Teatru Miejskiego.

Kierownik Teatru Ludowego był jednym z pierwszorzędnych artystów Teatru Miejskiego, na co zgodziłem się do czasu, pozwalając nawet młodszym siłom brać udział w Ujeżdżalni, jednak z niewytłómaczonych dla mnie powodów, jeden z krytyków, popierający najsilniej sprawę Teatru Ludowego jednocześnie z widoczną namiętnością i niechęcią występuje przeciw Teatrowi Miejskiemu i właśnie w chwili, gdy Instytucya nasza potrzebuje poparcia i pomocy, przeszedłszy przesilenie wskutek częściowej zmiany personalu. Zamiast ocenić słusznie położenie T atru rozwijającego się w trudnych warunkach finansowych, mającego do zwalczenia konkurencyę scen bogatszych i lepiej uposażonych, krytyk ten stara się wyzyskać tendencyjnie te przemijające okoliczności na widoczną niekorzyść Teatru Miejskiego, aby tem większą sympatyą otoczyć sprawę Teatru Ludowego. Prowadzenie Teatru Miejskiego jest zadaniem ciężkiem, koszta, jak na nasze stosunki, są ogromne, tak, że pomimo wybornej frekwencyi publiczności, sezon ubiegły zamknąłem z dotkliwym deficytem.

Zwrócę także uwagę, że otrzymałem dzierżawę Teatru Miejskiego w bardzo trudnych warunkach, ale gdy nie istniała jeszcze konkurencya Teatru w Ujeżdżalni.

Kontrakt z Gminą Miasta Krakowa § 28 zabrania mi wyraźnie utrzymywać gdziekolwiek drugiego teatru, z tego także wynika logicznie, a prawie analogicznie, że Gmina Miasta Krakowa, jako drugi kontrahent nie powinna dopuszczać szkodliwej konkurencyi i stwarzać drugiego teatru, zwłaszcza pod bokiem Teatru Miejskiego. Wobec tego Wysoka Rada Miasta Krakowa raczy rozważyć pytanie: czy należy polepszyć warunki egsystencyi Teatru Miejskiego, czy też w mieście niewielkiem stwarzać drugi teatr, wskutek czego Teatr Miejski pozbawiony części dochodów, musiałby z biegiem czasu obniżyć poziom swej działalności artystycznej.

Teatrowi Miejskiemu wskutek konkurencyi Teatru w Ujeżdżalni grozi uszczerbek bardzo wielki — gdyby więc Wysoka Rada Miasta Krakowa uznała za stosowne, pomimo wyłuszczonych tutaj motywów, wydzierżawić Ujeżdżalnię dla drugiego teatru, w takim razie na zasadzie strat spowodowanych przez stronę zawierającą umowę, byłbym zmuszony wystąpić z żądaniem odszkodowania, aby uratować zagrożoną egzystencyę Teatru Miejskiego.

Józef Kotarbiński.



Konferencya nauczycielska w Przemyślanach.



Teofil Terlecki: Smierć Ikara.

WARSZAWIANKA NA PRZECHADZCE

Jak się suknię unosi?

Maleńka lekcya poglądowa gracyi i szyku.

Skończyły się piękne dni września, cudnej tej naszej, słonecznej, choć melancholijnej jesieni — nastały dni jesienne mniej przyjemne, kiedy śluzy niebieskie się otwierają, aby ziemię skrapiać deszczykiem, a często deszczem — ach, nieraz całotygodniowym! niekoniecznie pożądanym. Wychodząc z domu w promieniach słońca, nie można wiedzieć, czy się nie wróci w strugach deszczu; groźna chmura wisi nad głowami, a ziemia czycha strumykami i kałużami, które są utrapieniem, groźbą



I.
Czy się wychodzi w dzień pogodny,



II.
czy też podczas deszczu,



III.
czy się suknię unosi z lewej czy z prawej strony,

i klęską szczególnie u nas, w całej Galicyi, — a zwłaszcza w Krakowie kochanym, gdzie miasto jakby naumyślnie wybrukowano w ten sposób, aby zrobić miejsce dla niezliczonego szeregu kałuż.

Biedne panie! Do okropnych trosk i kontemplacyj, któremi ich główki obarczone, przybywa jeszcze jedna: jak unosić w danym razie suknię, tę nową, najnowszą, sezonową sukienkę z długim, modnym trenem, z którym wogóle trudno dać sobie rady w czasie pogody — cóż dopiero w tem zmiennem, niebezpiecznem, deszczem i błotem ziejącem powietrzu, jakie przedstawia koniec jesieni.

Dla sceptyka — (wszyscy mężczyźni są sceptyczni!), dla człowieka bez delikatnego smaku estetycznego — (wszyscy mężczyźni są właściwie gruboskórni!), kwestya wydaje się drobną, prostą, zdaje się wcale nie istnieć... A jednak tensam mężczyzna, traktujący tę sprawę z anielską pogardą, pragnie równocześnie, aby kobieta była szykowna, elegancka, aby mu się podobała. A jeśli tak — muszą przecie kobiety, jak wiadomo: wieczne ofiary! —



IV.
czy się idzie prosto,

dbać o strój i elegancyę, muszą i powinny stokrotnie, aby uratować resztki estetyki stroju, odebranej już w zupełności jednostajnym, banalnym ubiorom męskim; muszą wszystko robić, z czem im ładnie i do twarzy — oby zawsze ładnie i do twarzy!

Więc powstaje istotna kwestya, jak manipulować, aby jedną rączką podtrzymywać długą, w fałdy rozkładającą się sukienkę, a drugą mieć wolną... naprzykład dla parasolki.

Jak? Kwestyę tę każda szykowna kobieta rozwiązała w praktyce, a przedewszystkiem Paryżanka, która, czy zamieszkuje »pałace, sterczące dumnie«, czy owe poddasza, opiewane przez Musseta i Murger'a, umie się ubrać i umie z wdziękiem wrodzonym poruszać wszędzie. Któraż Niemka to potrafi?

Paryżanka jedną ma tylko rywalkę: Polkę. Wiadomo, że Polka, gdy się uda, dorównuje Paryżance, a nieraz przewyższa ją dyskretną elegancyą i wyrafinowanym gustem. Dla szykownej Warszawianki trudny problemat unoszenia długiego trenu nastręcza tylko dużo sposobności do okazania gracyi...

Oto Krakowskiem Przedmieściem kroczy taka zgrabna osóbka, szeleszcząc jedwabiem. Spojrzcie, jak ona unosi suknię:

Zlekka, jakby z chęcią ukazania tylko rąbka eleganckiej spodnicy, zgrabnym ruchem prawej ręki unosi z boku ciężkie fałdy szykownej sukienki jesiennej. Nagle deszcz zaczyna kropić i w jednej chwili zmienia się obraz. Parasolka, która dotychczas spoczywała dla oparcia w lewej dłoni, wędruje rozpięta do prawej, a tren unosi się cokolwiek wyżej, przechodząc szybkim ruchem do lewej. Wszak w pierwszym rzędzie rozchodzi się o to, aby lilipucie, nienaganne buciki omijały gęsto powstające kałuże — więc baczność! Chwile mijają, deszcz ustał, nie znikło jednak jeszcze błotko. Fałdy unoszą się tedy cokolwiek wyżej — oczywiście z całem umiarkowaniem, wrodzonem temperamentowi właścicielki — i raz, dwa! kałuża przebyta, suknia i bucik bez plamki.



V.
czy się wstępuje na schody,



VI.
zawsze trzeba suknię unosić z gracyą i wdziękiem.

To i chwała Bogu. Teraz wędruje się dalej, szykowna nasza osóbka trzyma sukienkę ruchem wdzięcznym, kołyszącym się zlekka, i idzie swoją drogą. Ot, jest już u celu i musi wstąpić na schody. Sukienka opada tedy z tyłu a unosi się po prawicy, aby z przodu — długa, jak moda nakazuje — zbytnio nie przeszkadzała. Że przy tem nóżka, ut figura docet, wygląda trochę niedyskretnie — nic to oczywiście nie szkodzi, jeśli ładna, kształtna, obuta w lśniący trzewiczek z miękiego chevreau laku. I staje już przed drzwiami wchodowemi, unosi sukienkę w obu dłoniach, bada krytycznym wzrokiem fałd każdy, buciki swoje — wszystko świeże i czyściutkie. Brawo — można ukazać się w salonie przyjaciółki!

Stella.

PODBÓJ ATMOSFERY.

(Patrz: »Łódź powietrzna inż. Kressa w przeddzień katastrofy« na str. 93)

Piszą nam z Wiednia:

Od dłuższego czasu prasa zajmowała się gorliwie inż. Kressem i jego próbami aeroplanu.

Kress, poważny uczony inżynier, całe życie poświęcił problematowi podboju atmosfery, problematowi, który dzisiaj w Europie i w Ameryce jest na porządku dziennym. Próby czynione z maleńkimi modelami — udawały się dosyć. Znawcy twierdzili jednak, że wielki model, jeżeli już się wzniesie w powietrze, to zaraz utraci równowagę...

Niemożność utrzymania w powietrzu równowagi jest wogóle kardynalną wadą wszystkich tego rodzaju jak Kressa konstrukcyj.

Wreszcie po dwudziestu latach prób, które wyczerpały kapitał, udało się Kressowi skonstruować szkielet swej łodzi z lekkich rur stalowych — na motor zabrakło grosza. Wówczas pojawiła się w dziennikach odezwa, wzywająca do składek na rzecz Kressa. Cesarz, rada miejska i szereg prywatnych osobistości złożyły potrzebną sumę — motor został kupiony. Kress rozpoczął ostrożnie próby wzlotu na falach rezerwoaru wód w Tullnerbach pod Wiedniem.

Podobnie jak aeroplan Maxim'a (strzaskany przy pierwszej próbie) rozpędzał się na szynach, tak statek Kressa nabierać miał potrzebnej do wzlotu siły, ślizgając się po powierzchni wody.

Próby stwierdziły przewidywania fachowców. Dnia 7-go października, gdy Kress puścił w ruch motor, łódź nie wzniosła się w górę, lecz straciła odrazu równowagę; skrzydło jedno zanurzyło się w wodę... i cały przyrząd poszedł na dno, pociągając za sobą zrozpaczonego wynalazcę.

Całe szczęście, że Kress miał na sobie pas korkowy i nie zaplątał się w druty swej łodzi, boby był w tej imprezie postradał życie... tak jak Lilienthal, Schwarz i inni genialni szermierze podboju atmosfery.

Jakiem będzie obecnie jego życie — życie człowieka, który całą duszę poświęcił jednej idei, a teraz ma przed sobą tylko gruzy i rozpacz? Życie Ikara, który się przekonał, że skrzydła jego były tylko z wosku...

Biedny Kress.

Ale zawód — przewidziany zresztą — Kressa, nie odstraszy innych wynalazców.

Prędzej czy później, próby, podejmowane dzisiaj przez setki inżynierów, uwieńczone będą powodzeniem. A że ofiar nie zbraknie... trudno; ludzkość zawsze każdy krok naprzód okupuje ofiarami — a im donioślejsza myśl, im śmielsze przedsięwzięcie, tem większe i krwawsze ofiary.

Wiedeń. *J. S. K-i.*

Konferencya nauczycielska w Przemyślanach.

(Ilustracya na stronicy 95).

Dnia 16 i 17 września br. odbyła się pod przewodnictwem p. M. Popowicza, ck. inspektora szkolnego okręgowa konferencya nauczycielska powiatu przemyślańskiego. Oprócz przeprowadzonych kilku lekcyj praktycznych odczytano elaboraty z zakresu pedagogii i metodyki. Szczególną sympatyą publiczności cieszyła się wystawa prac uczniów i uczennic, jak: ćwiczeń piśmiennych, rysunków i robót ręcznych kobiecych, urządzona w dwóch salach przez nauczycieli tut. szkoły pp.: Lisowskiego, Leitnera, Stuglikową i Ostafińską. Odznaczały się zaś robótki uczennic oraz rysunki polichromiczne i z modeli gipsowych uczniów klas wyższych szkoły przemyślańskiej.

Z Wystawy ogrodniczej w Wiedniu.

Dział polski.

W niniejszym nrze zamieszczamy trzy ilustracye z działu polskiego na wystawie ogrodniczej w Wiedniu, działu, który tyle odznaczeń uzyskał. Dalsze ilustracye i portret dra Golińskiego, który dział ów urządził, możemy z powodu spóźnionego nadejścia fotografij, które specyalnie były robione dla »Ilustracyi«, zamieścić dopiero w nrze następnym (między innemi halę główną ze stołami, dekorowanymi według pomysłu Stan. Wyspiańskiego).

Jednym z głównie odznaczonych na wystawie jest J. bar. Brunicki, którego szkółkę drzew reprodukujemy; otrzymał on za warzywa z polnej uprawy — medal srebrny pozłacany, srebrny i brązowy; za drzewka i krzewy owocowe i ozdobne: nagrodę honorową komitetu wystawy, medal pozłacany srebrny, dalej dwa srebrne medale; za owoce — medal srebrny wielki Towarzystwa pomologicznego austryackiego.

STANISŁAWA WYSOCKA.

(Portret na str. 99).

Pani Stanisława Wysocka, która od niedawna gości w teatrze krakowskim — tego nabytku trzeba Dyrekcyi powinszować — zyskała sobie od pierwszego występu w »Sobótkach« Sudermana żywe uznanie tak publiczności, jak i krytyki. Artystom, przybywającym z Poznania, gdzie teatr z niesłychanemi walcząc trudnościami spełnia misyę raczej narodową, niż artystyczną, krytyka nie stawia zbyt wysokich wymagań artystycznych; p. Wysocka prędko przekonała jednak, że jest artystką dużej miary i że na wielkiej scenie znaczną ma przed sobą przyszłość. Od natury otrzymała warunki nader korzystne: piękną postawę, wyrazistą, ruchliwą twarz, oko sceniczne, głos silny i dźwięczny; pracą własną nauczyła się środkami tymi umiejętnie dysponować: wyrobiła więc sobie dykcyę



Stanisława Wysocka.

świetną, inteligentnie akcentowaną, sposób gry skupiony, uderzający więcej ekspresyą psychiczną, niż łatwym, zewnętrznym efektem.

Warunki te kwalifikują p. Wysocką do repertoaru poważnego dramatu — i oby na scenie krakowskiej znalazła dla pięknego swego talentu odpowiednie pole rozwoju!

»HEJ RAMIĘ DO RAMIENIA!«

W uzupełnieniu naszego artykułu z poprzedniego numeru, zaznaczamy z przyjemnością, że Ministeryum wyznań i oświecenia w listopadzie r. 1899 asygnowało kwotę 300 koron na sprawienie instrumentów dla muzyki uczniowskiej c. k. gimnazyum św. Jacka.

POKŁOSIE Z OBCEJ NIWY.

II.

EBNER ESCHENBACH: **PIOSENKA MAŁA.**

Ta piosnka mała! Powiedz, co
W niej jest, że tak kochamy ją,
Że nas tak bardzo wzrusza? —
Trochę w niej woni, blasków, lśnień,
Trochę melodyi, serca drżeń,
I cała, cała dusza!

Tłom. *Elk.*

W ZWIERCIADLE DUSZY.

Światło pękami barwnymi tryska
Na skraju lasu i między drzewa,
Gdzie sennym głosem ptak pacierz śpiewa,
Garściami cienie i blaski ciska.

Staw rozmarzony jak odaliska
Wolnym się ruchem w łożu przelewa,
A kiedy czasem wiater powiewa
Widać we wodzie odbić zwaliska.

W zwierciedle duszy tak cicho leży
Odbicie światła — świetlane, senne,
Obmyte z kurzu, złotem oblane...

Lecz kiedy wiater musnął zwierciadło,
Widzenie jasne w falach przepadło
I tylko szczątki — drzą potrzaskane.

Krosno. *F. Mirandolla.*

ALBUM NOWEGO SEJMU

SERYA III.



Stanisław Pawlikowski
pow. Żydaczowski (kons.)



Michał Bobrzyński
Wielka własność krak. (konserw.)



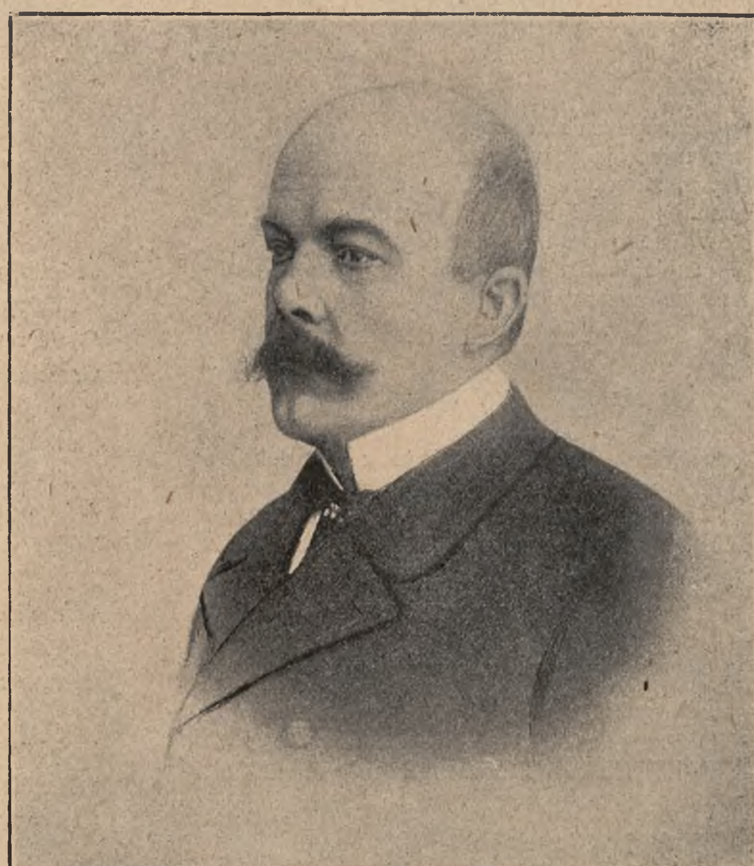
Kazimierz Lipiński
Sanok-Krosno (demokr.)



Stan. Hasso Agopsowicz
(kons.)



Prof. Dr. Antoni Mars
Wielka własność N. Sącz (kons.)



Kazimierz Hr. Badeni
Wielka własność krak. (konserw.)

Nakładem Redakcyi »Głosu Narodu«. Z Drukarni Narodowej w Krakowie.